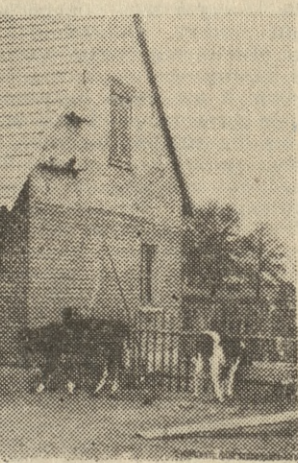


Wiesi nazywa się Słaboludź... Musieli tu kiedyś mieszkać „słabi ludzie”, może słabnący z pańszczyźnianej pracy ponad siły, może z głodu? Wiele takich wcale nie symbolicznych mian zachowało się w nazwach chłopskich sadyb. Znamy wsie: Głody, Ugory, Piaski, a gdzieś pod Zieloną Górą, stara bardzo wioska nosi osobliwe imię — Nie-masz-chleba (pisze się w jednym słowie). Gdy popatrzyć na zdjęcie (1), które

reprodukuje obok, od razu nasuwa się pod pióro jedna z takich nazw. Taka chata to dziedzictwo kapitalizmu, jakie można jeszcze spotkać w okolicach Słupcy. W Słaboludzu natomiast jest dzisiaj inaczej, zupełnie inaczej.

W 1949 roku przyjechała komisja z powiatu w Koninie. Naradzano się z gromadą, jak najlepiej urządzić całą wieś od nowa, żeby było ładnie i praktycznie. „Ale skąd pieniądze weźmiemy?” — niepokoił się jeden i drugi. „Dostaniecie państwowe kredyty na dogodnie spłaty” — brzmiała odpowiedź. „I materiał także?” — „I materiał, i plany budowlanych”. W pięćdziesiątym roku stały pierwsze domki: murowane, zgrabbne, kryte dachówką. Dziś (zdjęcie 2) jest ich dwadzieścia. Jeszcze nie wszyscy obywateli sobie urządzili — planują postawić schłodzone plotki, a może żywopłoty, żeby ładniej było. Posadzili także chłopię karłowate i zwyczajne drzewka, żeby mieć własny owoc.

Janina But, żona sołtysa gromady, jest teraz gospodynią całą gębą. „Przedtem mieszkało się w jednej izbie, co to i za kuchnię i mieszkanie było. Niewygoda, bo ciasno. W naszych domkach izby nie są takie duże, ale na nasze potrzeby wystarczą”. „A gdzie mąż?” „O, na niego długo trzeba by czekać. Jest na kursie”. „Sołtysów?” „W Ursynowie jest. Zeszłego roku założyliśmy spółdzielnię



wiemy jak się wziąć do roboty. Poduczylibyśmy się trochę grać, to by i na mecz się pojechało...”

Ano, w Koninie PKKF zapomniał o Słaboludzu. Przypomniał więc, że taka spółdzielnia istnieje.

Nowe domki, nowoczesna uprawa, maszyny — oto co nowego widać na wsi.

ZMP-owiec Józef Grzelak (zdjęcie 8) jest synem brygadzysty.



Pracuje w POM Golina i obsługuje swoim traktorem spółdzielnię w Słaboludzu. Jego pomocnikiem jest ten napastnik, który chciał główką strzelić gola.

Młodzież Słaboludza i wielu innych wsi w Polsce znalazła w swojej ludowej Ojczyźnie warunki rozwoju i awansu. Wielkiej pomocy, jaką otrzymali od władz państwowych ich rodzice



— spółdzielcy, nie zapomną — starają się odwzajemnić sumieniem wykonywaniem obowiązków w dostaw.

Spółdzielcy w Słaboludzu pamiętają, że im więcej przemysłu nasz będzie miał surowców rolniczych, a robotnicy chleba, mięsa, masła, kartofli, mleka i wazryw — tym szybciej będzie rósł dobrobyt całego narodu. Wów-

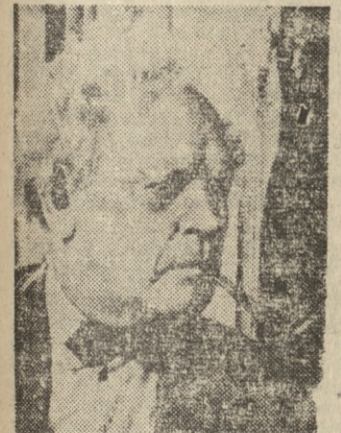


czas takich nowych od fundamentów wsi powstanie bardzo wiele. A do każdej podłączy się prąd elektryczny. W Słaboludzu zaświeci się lampy elektryczne już za rok.

Fotoreportaż EUGENIUSZA KITZMANA

Wybrzeże dzieciństwa

Gdy Martin skończył 9 lat, rodzice nie mogąc już w żaden sposób uporać się z kopenhaską biedą, skorzystali z tego, że magistrat miasta dla pozbycia się nadmiaru bezrobotnych, płacił im podróż do miejsca pochodzenia, byleby się jak najszybciej wynieśli. W ten sposób Hans Jörgen dostał się wraz z rodziną na wyspę Bornholm. Ale rachuby, że tam zdołają sobie zbudować lepszą egzystencję okazały się równie płonne, jak wszystkie dawniejsze nadzieje. Osiedlony bowiem w miasteczku Nexø (stad drugi „literacki” człon nazwiska pisarza), musieli się zadowolić „mieszkaniem” w wilgotnej, walczącej się szopie, stojącej nad samym brzegiem morza. Z powodu ciasnoty na „parterze”, Martin sypiał z częścią rodzeństwa na strychu. W lecie panowało tu piekielne gorąco, a zimą straszliwy ziąb. „Wiatr od morza przenikał na wylot źle uszczelniony dach i nawet śnieg na twarz” (*). Chłopiec całymi nocami kaslał. Ojciec zaś nie znalazł roboty w miasteczku, był zmuszony codziennie wędrować do odległych kamieniołomów na tak zwanych Wzgórzach Piekielnych. Wstawał „o czwartej rano, a wracał z pracy dopiero o siódmej lub ósmej wieczorem, odrętwiały ze zmęczenia. By



Martin Andersen Nexø

mieć choć taki zarobek, trzeba było odrabiać godziny nadliczbowe i pracować przy latarni”. Również Martin i Jerzy szli po szkole do kamieniołomów. Pomagali ojcu, jak umieli, chodząc o każdy grosz. Ciężkiej, źle opłacanej i często niebezpiecznej pracy bornholmskich kamieniarzy, Nexø poświęcił potem kilka utworów, m.in. pierwsze swe opowiadanie „Los na loterii” oraz „Szczęście”.

Gorsze jeszcze od nędznego mieszkanka i harówki ponad siły było dla Andersenów nastawienie miejscowej ludności, tkwiącej głęboko w dawnych przesądach i zabobonach. Zarówno mieszkańcy na wpół rolniczego miasteczka, jak też okoliczni chłopcy odsadzali każdego od miana przyzwoitego człowieka, kto nie posiadał choćby skrawka własnego gruntu. Andersenowie gospodarstwa nie mieli i dlatego przez długi czas spoglądano na nich z pogardą, a gdy im się okresowo nieco lepiej powodziło — z zawścią.

Rodzina Andersenów była zresztą z innego powodu „ziewdziana” — wydawała się kołtuńskim, drobniomieszczańskim, należąca do różnych sekt, zbyt mało pobożna. Hans Jörgen sekciarzy nie znosił i w ogóle na sprawy religijne zapatrywał się wcale rozsądnie, matce też wszelka bigoteria była zupełnie obca, a Martin wyróżniał się zeknięciem się z tzw. „świątobliwymi” najgorsze, ucdpamiające na całe życie wspomnienia. W szkółce niedzielnej, do której uczęszczał,

*) Wszystkie przytoczone w niniejszym fragmencie cytaty z Nexø pochodzą — o ile nie zaznaczono inaczej — z jego „Wspomnień”.

Egon Naganowski

1 czerwca br. umarł w wieku 85 lat wielki pisarz duński, Martin Andersen Nexø, najwybitniejszy obok Maksyma Gorkiego przedstawiciel światowej literatury proletariackiej. Jego słynne dzieła z „Pellem zwycięzcą”, „Dittą” i „Czerwonym Mortenem” na czele zdobyły sobie niezwykłą popularność wśród milionów czytelników we wszystkich krajach m.in. w Polsce Ludowej. Większość najlepszych książek Nexø, przepojonych głęboką miłością do prostego człowieka, pięknym socjalistycznym humanizmem, wyrosła z własnych, niezwykle ciężkich przeżyć autora, szczególnie ze wspomnień, wyniesionych z czasów dzieciństwa i młodości.

Poniżej drukujemy fragment z popularnej monografii o życiu i twórczości duńskiego pisarza, którą dla Wydawnictwa „Wiedza Powszechna” przygotowuje Egon Naganowski.

jednym z wykładowców był pewien kowal, fanatyk psychopata, zmagający się co noc z „księciem ciemności”. Z bojów tych wychodził z podrapaną twarzą, pokaleczonymi rękoma wygładzonym swym i zachowaniem straszyl biednych uczniów, zastygających w niemym przerażeniu na widok oblakacza. Pod wpływem niesamowitych kazań kowala, Bóg jawił się Martinowi jako okrutny, nie znający litości władca, wydający wiernych na pastwę złych mocy i śmierci. W szkole powszechnej zaś nauczyciel Friis, uwieczniony „Wspomnieniami” również na kartach „Pellego”, gdzie występuje pod swoim prawdziwym nazwiskiem, nie straszyl wprawdzie śmiercią i piekłem, lecz ogłupiał chłopców nieustannym spiewaniem psalmów. „Nie przypominam sobie — opowiada Nexø — aby Friis opowiedział nam, kiedykolwiek z historią, z nauk przyrodniczych, czy też przeczytał na głos jakiegokolwiek opowiadanie. Gdyby zamierzał zagasić światło w naszych duszach, nie mógłby gruntowniejsze zabierać się do rzeczy, niż nakazując nam bezustannie kuć psalmy”.

Najbardziej upośledzoną, a zarazem odrębną warstwą ludności byli na Bornholm szwedzcy robotnicy sezonowi. Ci Szwedzi, którzy odegrali w twórczości Nexø nie małą rolę, wynajmowali się do najcięższych robót u bogaczy wiejskich i właścicieli kamieniołomów, często zaś, nie mając żadnych widoków na zajęcie w ojczyźnie, pozostawali na stałe, choć im płacono haniebnie niskie stawki jako „ludziom niższej rasy”. „Świadomości klasowej — pisze Nexø — nie mieli... żadnej; mimo to reprezentowali coś nowego. Były to forpoczty proletariatu...”

W odróżnieniu od leniwych, skąpych i zaśniedziałych w swej parafianczyźnie Bornholmczyków, nie mieli żadnego zrozumienia dla „świętego prawa” posiadania, tego umieli pracować, z hulaszczym rozmachem lubili się bawić. Oznaczałi się zdecydowaną, czynną postawą wobec życia, w której kryło się sporo zadatków na przyszłość. „Podczas gdy Bornholmczyk wybijał się przezwagiem przy pomocy spadku i dobrego ożenku, Szwedzi walczyli o lepszy byt własnymi siłami”. Dlatego też Nexø chciał w „Pellem zwycięzcą” przedstawić dzieje proletariatu, wstępującego na drogę walki, da mu za ojca szwedzkiego imigranta, a w wielu innych dziełach ukazać ludzi, o mentalności podobnej do tej, jaką za-

obserwował w młodości u robotników pochodzących z Szwecji. Tym bardziej, że i Hans Jörgen, pijak i utracjusz, a jednak człowiek, który w mieście nauczył się nowoczesnego tempa pracy i zdobywał się niekiedy na porwy, świadczące o pewnej robotniczej dumie, o pewnej godności — w niejednym mu owych Szwedów przypominał, w dobrym i złym. Niestety „zło” brało u Hansa Jörgena zbyt często górę i Martin, odczuwający mimo wszystko „gwałtowną potrzebę podziwiania ojca”, zawsze na nowo doznawał gorzkiego zawodu.

Z ciężkiej atmosfery domowej dorastający chłopiec uciekał często do dziadków, biednych chłopów, mieszkających na kamienistym pustkowiu, w pochylonej ze starości chacie. Byli to ludzie, dla których kupienie pudełka zapalek stanowiło poważny problem, a nabywanie naftki nie wchodziło w grę. „Okropny napój, nazywany przez nich kawą” słodzili w ten sposób, że kawałek tak zwanego cukru lodowatego trzymali przy pić pod językiem, a potem znów odkładali do cukiernicy. O tym, by mogli sobie pozwolić na spróbowanie masła lub mleka, które im dawała jedyna krowa, w ogóle nie było mowy. Jajek nie jadali nawet na Wielkanoc. Cały nabiał (jedyną źródło dochodu) przeznaczali na sprzedaż, z której mieli najwyżej 75 koron rocznie, sumę nie wystarczającą na opędzenie najkonieczniejszych wydatków. Gdy kiedyś dziadkowi stuknęło się szkiełko w okularach, przez pół roku nie mógł sobie kupić nowego, bo kosztowało aż... 50 öre.

Taka była sytuacja biedoty wiejskiej w „idealnym kraju chłopskim”, jak od dawna nazywają Danię burżuazyjni ekonomiści. Kłamiwość tego określenia zdemaskował jeszcze w początkach naszego wieku Lenin (w pracy pt. „Zagadnienie rolne w krytyce Marks’a”), udowadniając na podstawie statystycznych obliczeń, że mała stosunkowo grupa wielkich farmerów duńskich odgrywa rolę głównych dostawców mleka i mięsa, a masa drobnych gospodarzy z niedostateczną ilością bydła sprzedaje na rynku mleko, masło i mięso z uszczerbkiem dla własnego wyżywienia. Przykład dziadków Martina znakomicie ilustruje Leninowski wniosek. Należeli oni do tak zwanych husmenów, bezrolnych chłopów, którzy według danych z lat dziewięćdziesiątych ubiegłego stulecia stanowili przeszło 12% ogólnej liczby duńskich gospodarzy.

Częste odwiedziny Martina u dziadków dostarczyły mu wielu drobnych lecz istotnych spostrzeżeń, które wraz z późniejszymi przeżyciami podczas służby u zamożnych gospodarzy bornholmskich, Andersen Nexø artystycznie przetworzył i uogólnił w „Pellem”, „Kraju szczęśliwym”, sztuce scenicznej „Ludzie z Danguard” i innych utworach całkowicie lub częściowo związanych tematycznie z duńską wsią. Ale ważniejsze jeszcze od tego, co chłopiec w chacie na pustkowiu widział, było to, co w niej słyszał. Dziadek bowiem, niezwykle ciekawy typ chłopa-filozofa, „wyprzedzał swoje czasy; nie wierzył ślepo w to, że władza pochodzi od Boga i dostrzegał swoim bystrym spojrzeniem nierówności w życiu ludzkim”. Podobnie i duchowieństwu nie okazywał należnego respektu, twierdził, że „dobra to rzecz, umieć czytać, bo można sprawdzić, skąd pan pastor czerpie swą mądrość”. Wiele krytycznie był też nastawiony do kupców i wiejskich bogaczy — potrafił im zdrowo przysadzić. „...Stopniowo zrozumiałem — pisze Nexø — że dziadek był bardzo lubiany przez biedaków, ponieważ miał śmiałość mówienia prawdy moż-

(Ciąg dalszy na str. 2)



produkcyjną i starego wybrall na przewodniczącego, a teraz tam się uczy... Zróbcie panowie zdjęcie, zróbcie, to posłę mężowi! Niech sobie popatrzy!”

Więc zrobiliśmy (zdjęcie 3). Gospodyni śmieje się, bo rodzinie się powodzi. Dopiero się na dobre zagospodarowywują, ale już mają dwie krowy, dwie młode jałówki, dziesięć świń i dwie owce. Mają dziś więcej inwentarza, niż na dawnym gospodarstwie indywidualnym.

„Kto męża zastępuje? Krzemieński. Mieszka po sąsiedzku, jest członkiem zarządu”.

Nim jednak poszliśmy do sąsiada, koniecznie musieliśmy sfotografować (zdjęcie 4) małą Ha-



linę. Jak widzicie, córeczka przewodniczącego jest bardzo fotogeniczna. Bardzo lubi się bawić z szczeniakami. Do uśmiechu nie zdołaliśmy jej jednak namówić.

„Obórka, to ważna rzecz” — mówi Marian Krzemieński (zdjęcie 5). — „Inwentarz trzymałem

Czy wiesz, że...

Kilka liczb o czytelnictwie w Wielkopolsce

Przed wojną biblioteki publiczne województwa poznańskiego miały zaledwie 300 000 tomów — a dziś mają 1 800 000? Przed wojną 1 książka wypadała na 8 mieszkańców.

Przed wojną 1 książka na 8 mieszkańców



Dziś wypada 0,84 książki na 1 (jednego!) mieszkańca. Przy czym trzeba zaznaczyć, że w obliczeniu nie wzięto pod uwagę ilości tomów, jakimi dysponują biblioteki zakładów pracy, organizacji zawodowych, Związku Samopomocy Chłopskiej, Związku Młodzieży Polskiej i zbiorów książek fachowych i naukowych.

Dziś z bibliotek publicznych naszego województwa korzysta 12,6 proc. ogółu mieszkańców, gdy w roku 1946 zaledwie 0,2 proc.

Przed wojną tzw. „samorządowe” biblioteki w siedzibach powiatu posiadały zbiory nigdzie nie przekraczające 2200 tomów. Dziś biblioteki gminne posiadają co najmniej 3000 książek, a w bibliotekach powiatowych znajdują się księgozbiory od 14 000—20 000.

Nie dysponujemy danymi, ile przedwojenne biblioteki wypożyczały egzemplarzy swoim czytelnikom. Wiemy jednak, że z bibliotek nie korzystali chłopcy i robotnicy. Chłopcy nie mogli korzystać z tego prostego względu, że na wsiach nie było wypożyczalni książek, a nie w każdej gminie (mniej więcej 50 proc.) znajdowały się punkty biblioteczne, których księgozbiory nie przekraczały 500 tomów.

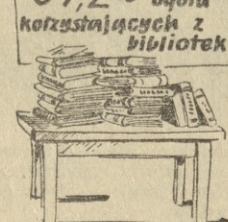
Dziś w roku 1953 wypożyczono dokładnie 5 156 011 tomów.

Kto najwięcej czyta? We dług wieku czytelnicy do 14 lat stanowią 25,7 proc., powyżej 14 do 18 lat 25,4 proc., a dorośli 48,9 proc.

Ciekawe są dane dotyczące zawodu czytelników. Wśród czytelników robotnicy stanowią 23 proc., spółdzielcy (członkowie spółdziel. prod., POM-ów, pracownicy PGR-ów) 4,6 proc., chłopcy indywidualni 11,6 proc., pracownicy umysłowi 18 proc., ucząca się młodzież 34,8 proc., — inni 8 proc.

Robotnicy i chłopcy stanowią

39,2% ogółu korzystających z bibliotek



W ciągu dziesięciu lat w bibliotekach międzywojennych TCL przybyło (1928—1938) zaledwie 40 000 tomów. W okresie dziesięciolecia Polski Ludowej biblioteki publiczne naszego województwa wzbogaciły się (1946—1953) o 1 700 000 tomów. Po wojnie, w której hitlerowcy zniszczyli wszystkie publiczne księgozbiory, w posiadaniu instytucji publicznych w naszym województwie znajdowało się zaledwie 100 000 tomów, a więc mniej niż przed wojną. W ciągu krótkiego okresu czasu rozwinęliśmy nasze czytelnictwo (jeśli chodzi o zasięg, ilość korzystających itd.) mniej więcej dwudziestokrotnie.

Przeciętnie każdy członek biblioteki czyta rocznie w naszym województwie 19 tomów. Najwięcej

czytają mieszkańcy Ostrowa, gdzie posiadacze karty bibliotecznej wypożycza co najmniej 34 książki rocznie. Na drugim miejscu znajduje się Leszno 32 książki rocznie, na trzecim Poznań 21 książek rocznie.

Jeśli chodzi o mieszkańców powiatów — „normę” trzech lub czterech książek na dwa mieszkańcy — a więc 20 książek rocznie przekroczyli: Czarnków 28, Koło 24, Turek 22, Ostrowo 22, Międzybóże 21, Wągrowiec 21. Najgorzej w porównaniu z przodującymi powiatami stoją: Chodzież 13,1, Oborniki 15,3, Kościan 15,7, Września 16,0, Kalisz, Kępno, Konin po 16,1 — a trzeba dodać, że te „najgorsze” wskaźniki byłyby co najmniej dwukrotnie wyższymi w stosunku do najlepszych ośrodków czytelniczych kapitalistycznej Polski.

Wybrzeże dzieciństwa

(Dokończenie ze str. 1)

nym, którzy z tego samego powodu niebył go kochali. I choć Martin nie zawsze pojmował istotny sens nauk dziadka, to jednak nie ulegał wątpliwości, że chata na pustkowiu stała się dla chłopca pierwszą w życiu prawdziwą szkołą. Tu znajdował pożywkę dla swego rozwijającego się umysłu, tu wchłaniał myśli jakże odbiegające od mistycznych kazań o bląkanego kowala i psalmów pana Friisa. I tu też jego serce spragnione tkliwych uczuć plawiło się w atmosferze serdeczności i ciepła, rozciąganej przez babkę, drobną, uroczą staruszkę o dobroliwych rełkach i małych dobrych oczach. Niejeden jej rys odnajdziemy w pięknej postaci babuni z powieści „Ditta”.

Tymczasem w domu sytuacja stawała się coraz bardziej nieznośna. Matka zarabiała praniem, chłopcy pomagali w kamieniołomach, Martin ponadto jeszcze pracował przy wyładowywaniu szkut w porcie, a mimo to ojciec zaglądający znów częściej do kieliszka wymawiał całej rodzinie, że jest dla niego ciężarem. Dochodziło do ostrych kłótni i awantur. Wtedy Martin pewnego dnia zbuntował się, poszedł do jednego z największych hodowców w okolicy i wynajął się na lato do pasania krów.

Opanowanie wielkiego stada, liczącego kilkadziesiąt sztuk bydła, sprawiło mu zrazu wiele trudności, których świetne opisy należą do najlepszych kart drugiego tomu „Wspomnień” i pierwszego tomu „Pellego”. Z czasem jednak Martin polubił zwierzęta i one jego polubiły, świadomość, że wykonuje jakąś pracę, za którą sam jest odpowiedzialny, napawała go radością, a ciągłe przebywanie na świeżym powietrzu i lepsze jedzenie wzmocniło organizm chłopca. „Moje życie — pisał Nexó — nabrało treści i to treści różnorodnej. Zdołałem sobie pewien świat i sam też stałem się jego ośrodkiem. Umysł mój napędlony wiedzą o nowych przedmiotach i żywych stworzeniach... Wszystko było niby jeden potężny zegar: słońce i niezmierzony przestwór nade mną. Wszystko miało swój rytm, należało tylko wsłuchać się w ten i odczuć go...”

Długie miesiące spędzone na pastwisku zaszczepiły Martino wi głęboką miłość do przyrody, do surowego piękna bornholmskiego krajobrazu, przysięgł dla większości dzieł pisarza. Zdobywszy zupełną władzę nad powierzchnią siebie stadem, którym kierował w końcu samym tylko głosem, Martin po raz pierwszy w życiu miał dosyć czasu na to, by oddawać się naprawdę bezstroskim chłopcym zabawom. „Rzekłbym, że dopiero tu... — powiedział Nexó — zaczęło się moje dzieciństwo i tu się też skończyło, że dopiero tu narodziłem się do życia, wyniesiony zostałem z mroku na światło i powietrze, na wybrzeże mego dzieciństwa”. Dlatego łąki, skały, wrzosowiska i nadmorskie piaski nad zatoką Balka zachowają dla autora „Pellego” na zawsze szczególne, niemal symboliczne znaczenie. „Z jakiegoś tam powodu — czytamy w jednym z autobiograficznych opowiadań ze

Insurekcja kościuszkowska 1794 roku, próba powstania zbrojnego, pierwsza walka wyzwolenia podjęta została w niesłychanie ciężkich warunkach. Stara armia szlachecka nie stanowiła żadnej militarnej wartości. Do skutecznej walki z najeźdźcą mogła stanąć tylko nowoczesna armia oparta na podstawowej sile narodu — na chłopach i mieszczaństwie przy udziale szlachty. Potwierdzeniem tego była bitwa racławicka, w której chłopcy uzbrojeni tylko w



Ks. Mejer — pierwszy jakobinski redaktor

kosy i piki, okazali się najgroźniejszymi bojownikami. O takiej właśnie 300 tys. armii marzył Kościuszko.

Zwycięstwo racławickie wywarło na ludzie warszawskim olbrzymie wrażenie. 17 kwietnia wybuchła w Warszawie powstanie przeciwko wojskom Igel-

stoma. Po dwudniowej krwawej walce wojska carskie zostały wyparte z Warszawy. Największy patriotyzm i bohaterstwo okazał plebs warszawski, a więc służba, rzemieślnicy, czeladź, drobni kupcy i tzw. „ludzie luźni” — przybyłe i zbiegowie ze wsi feudalnej.

W rezultacie powstania kwietniowego powstała w stolicy nowa władza — Rada Zastępcza Tymczasowa. Złożona z warszawskiego patrycjatu, odzignęła się ona od wzorów rewolucji francuskiej, chciała doprowadzić do układów pokojowych z Rosją i sadzić na tronie wielkiego księcia rosyjskiego. Uprawa politykę tolerancji wobec zdrajców znajdujących się w więzieniach, ułatwiała im kontakty i obawiała się rewolucyjnego terroru plebejskiej demokracji miejskiej.

Potężną natomiast siłą stojącą na czele ludu warszawskiego, stała się obóz lewicy, zorganizowany w „Klubie Jakobińców”.

Spotykamy tu dawnych działaczy Kuźnicy z ks. Konopką, Mejerem, a później Jasińskim na czele. Jakobińcy postawili sobie za cel bezkompromisową walkę ze zdraździecką magnaterią. W Klubie wygłasza się płomienne mowy, żąda ukarania szpiegów i zdrajców oraz surowych kar dla uwiecznionych targowiczów.

Swę rewolucyjne idee Jakobińcy szerzyli przy pomocy wydawanych gazet, z których największą bojowością wyróżniała się „Gazeta Obywatelska i Patriotyczna”, wydawana przez ks. Józefa Mejera.

„Gazeta Obywatelska” nawołuje, aby do urzędów nie brać „możnych i bogatych, ale onofliwych i nieskazitelnych”, by w wojsku oddać komendę tym, którzy przygotowali rewolucję, tj. postępowemu mieszczaństwu. Po za tym dla winnych „zaprzęstwa ojczyzny” żąda kary śmierci.

Tego ostatniego środka chwycił się lud warszawski, gdy w dniu 9 maja powiesił czterech zdraździeckich magnatów. Na postawę ludu w tym dniu wpłynęła „Gazeta Obywatelska”.

Uzasadniała ona takie wypadki „maksyma Francuzów” mówiąca, że „inaczej się nie może ustalić prawdziwa wolność i pomyślność Rzeczypospolitej, aż zdrajców zeewnątrz i wewnątrz knujących spiski i intrzygi lub związków i umów z nieprzyjacielem mających wytnąć i wyplenić... Maksyma ta jest bardzo rozsądną i sprawiedliwą: gdzie idzie o życie i los milionów ludzi niewinnych, lepiej tam puścić tysiące na ofiarę takich, którzy grzesząc przeciwko ludzkości i wolności, karę za swoje winy i zbrodnie odbierają”. (Gazeta Obywatelska” 4 czerwca 1794 r.).

Myśl surowego rozrachunku ludu z magnatami — zdrajcami nie opuszczała oddat redaktorów „Gazety Obywatelskiej”.

Obok piętnowania zdrady gazety jakobińskie wzięły sobie za cel karcenie obojętności magnatów względem powstania. „Gazeta Obywatelska” piętnowała arystokratki warszawskie, które nie chciały wspólnie z innymi spać szafach wokół Warszawy. Podając ich nazwiska do publicznej wiadomości jakobińscy dziennikarze pisali, że winny one „ubliżony ten z siebie przykład nagrodzić hojnym udziałem kosztu i butów dla wojska, czego brak w obozie”.

Za brak ofiarności i obojętności względem powstania „Gazeta Obywatelska” stawia często

pod przegięciem opinii publicznej stan duchowny, a zwłaszcza kier wyższy.

Zamiast „akcesa robić i przysięgę wykonywać skowp. lwią i ochoczo na Targowicę... zamiast... piórem wojować za prerogatywami dóbr i funduszy, intrat i majątków... godziłoby się przynajmniej w tak gwałtownej potrzebie ratowania ojczyzny, żeby ten który ma dwa, trzy lub więcej funduszy jednej osobie, zostawiwszy się przy intracie jednego, po otrzymaniu wydatków nieuchronnych... resztę na wojsko ofiarowali, a to za przykładem Chrystusa Pana, który jak też podobnie i apostołowie święci, niewiele potrzebowali, a świętymi byli... a nie byli posądzonymi o zdradę ojczyzny”. (Gazeta Obywatelska nr 5).

W nieubłaganej opozycji pozostawały pisma jakobińskie w stosunku do króla Stanisława Augusta. Była to polityczna wrogość — jak pisało — do „królów-tyranów, siedzących na słabych już tronach”.

Ks. Mejer był wydawcą jeszcze jednego pisma pod nazwą: „Dziennik Powstania Narodu”. O ile „Gazeta Obywatelska” przeznaczona była raczej do popularyzowania idei jakobińskiej wśród najszerszych warstw mieszczańskich, to zadaniem drugiego pisma miało być oddziaływanie na sfery, mogące wpływać na opinię i bieg spraw publicznych.

Wobec wspólnej akcji Prus i Rosji przy oblężeniu Warszawy „Dziennik Powstania Narodu” drukuje w numerze 1, 2 i 4 dłuższy artykuł: „O powstaniu w Wielkopolsce”. Autor dokonuje w nim obrachunku sił, jakie Polska mogłaby wystawić do walki z dwoma zaborcami, gdyby weszły w życie wszystkie zarządzenia naczelnika i Rady Najwyższej Narodowej.

Kiedy Wydział Skarbowy zmuszony jest puścić w obieg asygnyaty skarbowe, a potem rekwirować na potrzeby powstania wszystkie prywatne depozyty jako pożyczkę, pismo stara się szerzyć wśród społeczeństwa zaufanie do asygnyat i zwracać skarbowych mówiąc, że „zareczenia skarbowe zasadniczo uważane być powinny za sprawiedliwsze od metalicznej monety, bo oparte są na pewnej zupełnej hipotece dóbr narodowych”.

„Dziennik Powstania Narodu” piętnował magnaterię, że ta wywołała kosztowności za granicą, nazywając takich przeniewiercami i godnymi kary zdrajcami narodu.

10 lipca zaczyna się oblężenie Warszawy. Jakobińscy polscy nawołują do wprowadzenia „francuskiego terroru” wobec bogatych, aby i w Polsce wydobyć z ludu te niespożyte siły, które w rewolucji francuskiej już od dwóch lat dawały zwycięstwa nad mocarstwami koalicji. Mówi się o rewolucji od Donu do Odry, o pełnym wyzwoleniu mas włościańskich. Ale te pojedyncze głosy nie mogły już zmienić biegu wypadków. Po klęsce maciejowickiej i po bohaterskiej obronie Warszawy przez wojsko Kościuszkowskie — chłopów, mieszczan i plebs warszawski — 4 listopada Warszawa padła.

Krótki żywot miała prasa jakobińska. Zrodzona w dniach rewolucyjnego wystąpienia warszawskiego ludu, upadła wraz z powstaniem. Pozostała po niej piękna tradycja pierwszego rewolucyjnego czasopisma drukowanego w Polsce. Możemy być dumni z faktu, że dziennikarze polskich jakobińców należeli do pierwszych w Europie, którzy w swoich gazetach podjęli walkę o demokrację i wolność ludu.

FELIKS BIŁOŚ

PLAGI amerykańskiego rolnictwa i lekarstwo pana Eisenhowera

Nie tak dawno srogie zmarł... wienia spadły na skołataną głowę amerykańskich miliardów. Wyobraźcie sobie bowiem: w Korei przestano strzelać, bo narody świata stanowiąc domagali się pokoju; w Wietnamie nie udaje się rozdmuchać „brudnej wojny” do rozmiarów kontynentalnego konfliktu w Azji (co robić z wyprodukowaną bronią?); satelickie rządy dotychczas tak posłuszne, coraz częściej zawierają umowy handlowe z „czarnym wschodem”. Już tych kilka spraw mogłoby wystarczyć na starganie nerwy polityków waszyngtońskich, a tu nowa, wielka „groźba”, wisząca jak miecz Damoklesa nad gospodarką amerykańską! Konkretnie nad rolnictwem.

Zajął się nią prezydent Eisenhower w swoim rzędzie.

„Komiczna jest natychmiastowa akcja — czytaliśmy w tym dokumencie — w celu opanowania rosnącej groźby dla naszego obecnego programu rolniczego i w celu zapobieżenia gospodarczej klęsce w okęgach rolniczych...”

Jak by nie było — trzeba p. Eisenhowerowi wierzyć: — jak mówi, że rolnictwu amerykańskiemu grozi klęska, to widocznie coś w tym jest. Przebiegamy myślą wszelkie możliwe przypuszczenia: Susza? Powódź? Korozja? Jakies szkoki owadzie? A może „czterwone niebezpieczeństwo”, które współpracownicy FBI wszędzie

(Ciąg dalszy na str. 3)

„AMEKO KAERE!”

Ten okrzyk jest japońską odmianą zachodnio-europejskiego „Ami go home!”, jakim „pozdrowiają” amerykańskie oddziały wojskowe masy pracujące tych krajów. W Japonii oburzenie na Amerykanów wzrosło szczególnie silnie po ostatnich ludobójczych eksperymentach, jakie przeprowadzili oni na atolu Bikini z bombą wodorową. Zdjęcie przedstawia gigantyczną demonstrację 400 000 mieszkańców Tokio przed główną kwaterą wojsk amerykańskich. W demonstracji, która zakończyła się ciężkimi obrażeniami kilkudziesięciu osób, brali udział robotnicy, studenci, których reakcyjny rząd Jozidy zaprzęgał milionom amerykańskim. Policja rządowa wspólnie ze słynną (zła to sława) Milicją Policji pałkami gumowymi, kolbami karabinów i gazem łzawiącym rozpraszała waleczących o demokrację Japończyków.

Obiekt jakiego jeszcze nie było W Krakowie obradują naukowcy-hutnicy

Huta im. Lenina — to właściwie nie huta, lecz ogromny kombinat metalurgiczny, całkowicie zautomatyzowany i zmechanizowany. Aglomeracja, gdzie się kruszy i sortuje rudę żelazną; koksownia wytwarzająca koks dla wielkich pieców; piece w których wytapia się surowce; stalownia, przetwarzająca ją na stal i wakuownia — to główne części składowe kombinatu. Wydział remontowy i wytwórnia materiałów ogniotwórczych, potrzebnych dla różnych pieców, uzupełniają powyższy zespół.

Z zewnątrz huta będzie otrzymywać rudę żelazną, topniki, węgiel kamienny i materiały ceramiczne. Wszystkie procesy technologiczne będą odbywać się wewnątrz kombinatu, który będzie samowystarczalny, a ponadto będzie na zewnątrz prócz surowców dla odlewni żeliwa i stali, dostarczał także produktów chemicznych z koksowni i cementu z żużla wielkopiecowego. Fabryka chemiczna i cementownia będą dodatkowymi zakładami dla wykorzystania produktów odpadkowych.

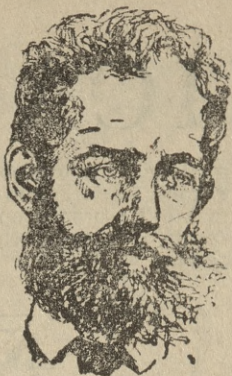
Zarówno sama budowa huty, jak i jej rozruch stopniowy, będą wymagać tysięcy rąk robotniczych i setek maszyn, oraz wielkiej liczby techników i inżynierów, tworzących plany i dozoruujących bieg robót. Do należytego opanowania skomplikowanego mechanizmu kombinatu potrzeba nie — pojedynczych jednostek, ale całego — „trustu” mózgów zdolnych do pracy naukowej i organizacyjnej.

Dłatego od 3 do 7 czerwca odbywa się w Krakowie Naukowy Zjazd Hutników Polskich, zorganizowany przez Polską Akademię Nauk. Najwięksi i najlepsi fachowcy i znawcy zagadnień związanych z hutnictwem, omawiają różne strony problemu rozruchu gigantycznego przedsiębiorstwa.

Program referatów jest obfity i dostosowany do cyklu produkcyjnego huty. Minister hutnictwa Jędrzejewski wprowadził uczestników w aktualne zagadnienia huty. Uczęni wygłoszą następnie kilka referatów fachowych. Między innymi poruszone będzie problem wytworzenia dobrego koksu, większej wydajności wielkich pieców i lepszej jakości surowców.

Rezultaty naukowe zjazdu przy czynią się do szybszego uruchomienia obiektu — z którego jest dumny cały naród.

Francuscy inżynierowie skonstruowali nową maszynę drukarską LUMITYP



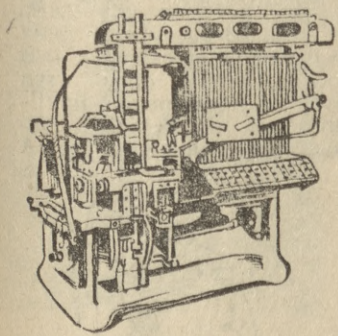
Ottmar Mergenthaler

Gdyby komuś powiedzieć, że można szerzyć oświatę bez gazet i książek, słuszenie spojrzalby on z dużą podejrzliwością na podobnie dowodzącego, doszukując się w nim niewyleczzonego pacjenta szpitala dla umysłowo chorych. Słowo drukowane i oświata są sobie bowiem tak bliskie jak bracia syjamscy, których rozdzielanie oznaczałoby śmierć obojga. Dla coraz większego szerzenia oświaty niezbędne są więc środki, które umożliwiają szybkie i możliwie tanie produkowanie słowa drukowanego, by w masowej ilości docierało ono do czytelników.

Słuszenie więc uznajemy w Janie Gutenberg jednego z najbardziej zasłużonych wołów postępu ludzi, który w XV wieku dokonał odkrycia odlewania czcionek. Jednak ciągle jeszcze była to mozolna praca, gdyż każda czcionka odlewać trzeba było osobno i poszczególne czcionki składać obok siebie w zdania. Proceder ten zaczął się okazywać szczególnie powolny, kiedy w początkach XIX wieku skonstruowano pierwsze szybko drukujące maszyny o napędzie parowym, zastępujące używane dotychczas maszyny drukarskie o napędzie ręcznym. Wtedy zaczęła się ujawniać potrzeba maszyny szybko składającej w sposób automatyczny. Chociaż bowiem rosła liczba zecerów, układających sprawnie jedną czcionkę obok drugiej, szybkość ich ręcznego składu nie mogła nadążyć za szybkością parowych maszyn drukarskich.

W jaki sposób zaradzić istniejącej potrzebie — zastanawiało się wielu fachowców, lecz dopiero w drugiej połowie XIX w. udało to się... zegarmistrzowi. Był nim Ottmar Mergenthaler, urodzony 11 maja 1854 r., a więc dokładnie sto lat temu, jako syn nauczyciela w jednej z wiosek Württembergii. Po wyuczeniu się zawodu zegarmistrzowskiego, w wieku 18 lat wyjechał on do Ameryki Północnej, śladem wielu tysięcy Europejczyków, którym wtedy zbyt ciasno się stało w „starym kraju”.

W Ameryce zainteresował się Mergenthaler bliską jego zawodowi precyzyjną mechaniką, po czym zetknął się z grupą fachowców drukarskich, starających się daremnie skonstruować automatyczną maszynę do składania. Nie udało to się zaraz i młodemu mechanikowi, po długich jednak próbach mógł on w r. 1885 zaprezentować pierwszą tego rodzaju maszynę,



Pierwszy linotyp z r. 1885

która pod nazwą „linotypu” przeszła do historii jako jedno z najdonioślejszych odkryć w dziedzinie techniki drukarskiej.

Konstruktor jej był Mergenthaler, lecz korzystał z doświadczeń wielu swoich poprzedników. Przy pokazie pierwszej swej maszyny oświadczył przeto skromnie: „Opracowałem pole, które bogato jest zasiane niepowodzeniami dawnych wysiłków”.

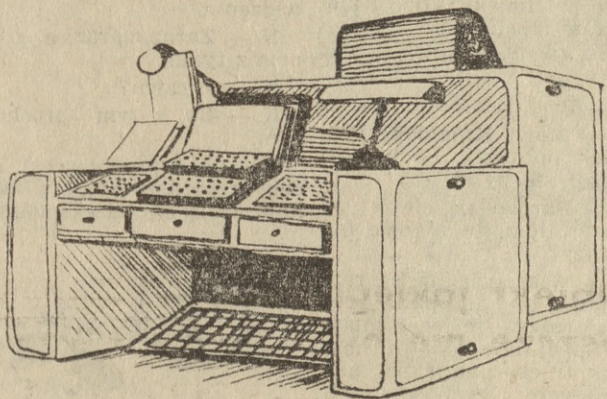
Nim jeszcze umarł 28 października 1899 r., a więc 55 lat temu, Mergenthaler był świadkiem szybkiego przyjęcia się w drukarstwie światowym jego linotypu. I choć dziś „maszyna do składania” jest poważnie ulepszona, podstawowa zasada pierwotnego linotypu obowiązuje do dziś. Polega ona na tym, że zecer ma przed sobą klawiaturę jak od wielkiej maszyny do pisania. Każde jego uderzenie zwalnia odpow-

wiednią czcionkę — matrycę. Jedna obok drugiej układają się one w wiersz gazetowy, który w odpowiedniej formie odbija się w ołowiu; czcionki wracają automatycznie na swe dawne miejsce i służą do niezmienionej ilości dalszych tysięcy odlewów.

Podczas kiedy dawniej do złożenia strony gazety nasze go formatu trzeba było całodzienniej pracy kilkunastu zecerów ręcznych, dziś jeden zecer maszynowy składa ją sam w ciągu 8-godzinnej dniówki. Dopiero z wynalazkiem linotypu mógł więc nastąpić szybki rozwój prasy, można było przystąpić do drukowania tanich książek. Mergenthaler oddał więc olbrzymią usługę rozwojowi oświaty, a tym samym kultury ogólnoludzkiej.

Potrzeby społeczne w dziedzinie oświaty stają się jednak coraz większe. Człowieka współczesnego nie można sobie wyobrazić bez gazety, bez kilkunastu czy kilkudziesięciu książek w domowej bibliotece. Dziś nakłady poszczególnych książek wynoszą niejednokrotnie setki tysięcy, a zwłaszcza podręczników szkolnych. Współczesna technika „składania słowa drukowanego” zaczyna przeto nie wystarczać wobec wzrastających potrzeb.

Od czasu skonstruowania pierwszego linotypu umysł ludzki dokonał wielu nowych odkryć, m. in. w dziedzinie fotografii. Posłużyły one



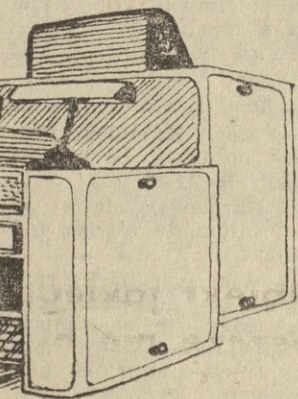
Tak wygląda zewnętrznie „lumityp”

dwom inżynierom francuskim Higonet i Moyroud do skonstruowania nowej maszyny do składania, tzw. „lumitypu”, w której błona fotograficzna zastępuje ołów linotypu.

„Lumityp” jest zewnętrznie podobny do wielkiego aparatu radiowego, posiada jednak podobną klawiaturę jak linotyp. Na tym kończy się całe podobieństwo. Natomiast miejsce skomplikowanej maszyny linotypu zastępuje u „lumitypu” wielka i przezroczysta płyta pionowa, na której zgrupowanych jest 16

różnego rodzaju pism, różniących się charakterem i wielkością. Płyta kręci się z szybkością 8 okrążeń na sekundę. W chwili, kiedy operator naciska na klawisz odpowiednie litery, wewnątrz „lumitypu” zapala się lampka i rzuca rysunek tej litery na błonę fotograficzną, na której się ona odbija. I kiedy dziś w jednym wierszu gazetowym, składanym przez linotyp, można używać tylko jednego charakteru pisma, przy „lumitypie” w jednym wierszu można mieć różne charaktery pism, co szczególnie ważnym jest przy dziełach naukowych itp.

Nie na tym kończy się korzyść „lumitypu”. Po wywołaniu błony fotograficznej robi się z niej kliszę i można drukować w masowym nakładzie książki, przy niezwykle tanich kosztach. Jak donoszą „Les Lettres Françaises”, już przy samej konstrukcji „lumitypu” oszczędność wynosi 2 tony materiału (stal i metale kolorowe oraz odlew żelazny), a wraz z mniejszymi kosztami fabrykacji zyskuje się na każdej maszynie 25 tys. dolarów. Zaznaczyliśmy już, że koszt „składu” zecerskiego są niezwykle niskie.



Tak wygląda zewnętrznie „lumityp”

Znajdujemy się więc nieśwajpłiwie w przededniu rewolucji w technice składania „słowa drukowanego”. Po Gutenbergu i Mergenthalerze zapisane zostaną w historii rozwoju drukarstwa nowe nazwiska zasłużonych dookoła rozwoju oświaty i postępu ludzkiego. Dopiero jednak wywołanie całej ludzkości od tyranii wyzysku kapitalistycznego spowoduje, że wszyscy ludzie na całym świecie będą mogli w pełni korzystać z tego doniosłego wynalazku.

B. LECHICKI

Plagi amerykańskiego rolnictwa i lekarstwo pana Eisenhowera

(Dokończenie ze str. 2)

weszą, dotknęło kukurydze, pszenice, bekony i bawełnę?

Ależ skąd — klęska zagraża z innej strony. W orędiu bowiem stoi bowiem jak wół:

„...rosnące zapasy produktów rolnych... są stałą groźbą dla rynku”.

Jak to? Ma gospodarz w magazynie spory zapas i martwi się? Ano — Ameryka jest krajem wszelkich możliwości. Tam i pełne spichlerze bywają dla kapitalistów klęską. By się ich pozbyć, już niejednemu raz palono, lub topiono w morzu pszenicę, ziemniaki, kawę, w imię pięknej „idei” — wysokiej, (a jak się to językiem ekonomicznym nazywało — optymalnej) ceny. Opałowej, naturalnie tylko dla monopolistów, gigantycznych hurtowników handlu produktami żywnościowymi. Farmer na tej manipulacji tracił. No i w trosce o opróżnienie jego i tak pustawej kieszeni, odczytano w Kongresie amerykańskim receptę na lekarstwo, które ma rolnictwo USA postawić na nogi.

„Wydaje się być nieuniknione — stwierdził przy-

dent USA — ogłoszenie apel o rząd o znaczne zmniejszenie powierzchni upraw kukurydzy. Kroki te powinny zmniejszyć powierzchnię wyznaczonych upraw w roku 1954 w następujący sposób: pszenica o 16,5 mln. akrów, kukurydza o 5,6 mln. akrów, bawełna o 3,5 mln. akrów.”

Proponowany „zabieg ekonomiczny” p. Eisenhowera należy do tego gatunku, o którym mówi się: „Operacja się udała — pacjent zmarł”. Faktem jest bowiem, że rząd USA chce przeznaczyć na ugor około 9 000 000 hektarów. Ba! Tłumaczy, że trzeba to uczynić „dla szczęścia i bogactwa Ameryki”, a także „zdrowia jej gospodarki”. Dziwne to leczenie, które wymaga zarzucenia upraw na obszarze trzykrotnie tak wielkim jak Belgia, potrafiącym bez trudu zaopatrzyć w żywność i surowce rolnicze ludność tego kraju — i jeszcze Szwajcarię na dodatek!

„Lekarstwo” wymyślone w Białym Domu i biurach miliardów bawełny, zboża, królów świątecznych, kawowych, kukurydzianych — nie są niczym rewelacyjnie nowym. Pokazują starą prawdę: gospodarka ka-

„Malowanki wielkopolskie”

czyli trochę o etnografii i przygotowanym występie
Zespołu Pieśni i Tańca pracowników ZISPO

Tadeusz Wróblewski

starszy asystent
Zakładu Etnografii U. P.

Białe i urocze są pieśni i tańce naszej wielkopolskiej wsi. Są one ściśle związane ze zwyczajami, obrzędami: Zrękowiny (zaręczyny), wesela czy uroczyny — nie do pomysłenia są na wsi bez ludowych tańców i pieśni odtwarzających nastroje chwili. Ich odtwarzanie w kształcie scenicznym lub estradowym nie może być pozbawione składników rzeczywistych zdarzeń — musi tej chwili być wyrazem i ucieleśnieniem uroku melodii, czy wdzięku tanecznego ruchu — owych odwiecznych ludzkich dążeń do piękna.

Oto taka idea przyswiecała twórcom inscenizacji, którą niebawem ujrzemy w wykonaniu Zespołu Pieśni i Tańca przy Zakładach im. J. Stalina w Poznaniu. Widowisko to



Oto oświadczyli. Narzeczeni ubrani są w ludowe stroje z okolic Krobi (tzw. „biskupizna”). Strój ich nosi etnograficzną nazwę „dzierzaciego”.

otrzymało miano „Malowanek wielkopolskich”. Końcówce jego próby, pozwalają przewidywać, że oryginalną melodyjnością i barwnością oczaruje ono nasze społeczeństwo.

Zasadniczy schemat inscenizacji jak również teksty, melodie i tańce oparte zostały na oryginalnych materiałach, zebranych przeważnie w terenowych badaniach etnograficznych w Wielkopolsce. Twórcy i realizatorzy widowiska zwrócili tu szczególną uwagę na zachowanie możliwie nienaruszonej wierności tekstów, melodii i tańców. Z uznaniem należy ten właśnie moment podkreślić.

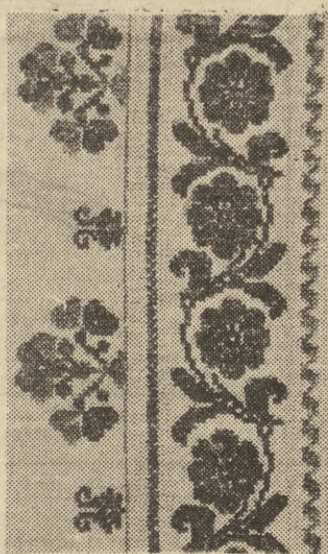
Lekkomyślnie bowiem, najczęściej nieświadomie fałszowanie ludowych tańców, melodii, strojów itp., w rozlicznych imprezach widowiskowych przybiera ostatnio fatalne dla polskiej sztuki ludowej rozmiary. Pomijając już sprawę niektórych tzw. „artystycznych wyrobów ludowych”, wystawianych w sklepach np. CPLA, wystarczy wskazać na to, co pokazuje wielka ilość zespołów ja-

ko stroje regionalne, jako ludowe piosenki i tańce. Często daleko odbiega to od prawdziwych wzorów, które są w rzeczywistości znacznie piękniejsze, choć często o wiele prostsze.

Szczególnie stroje ludowe rażą błędnym zaprojektowaniem i nieprawdziwą fantazyjnością. Najczęściej jest to wynikiem różnych przypadkowych, praktycznych względów, ale obok tego widać także tendencje do swojszczenia stylizacji. Te mniej lub więcej świadome fałszowania, w sumie swej przynoszą ideę upowszechniania sztuki ludowej więcej szkody niż pożytku.

A istnieją przecież w całej Polsce a więc m. in. także w Poznaniu specjalne naukowe zakłady, które gromadzą a następnie w sposób ścisły, naukowo opracowują poszczególne materiały dotyczące kultury ludowej. Takim jest Zakład Etnografii Uniwersytetu Poznańskiego, Zakład Muzykologii U. P. czy też Polskie Towarzystwo Ludoznawcze Oddział w Poznaniu. Współpracują one chętnie z instytucjami poza-universyteckimi, chętnie pomagają zespołom, organizującym widowiska o charakterze regionalnym, chętnie podejmują się konsultacji czy etnograficznej korekty przygotowywanych projektów.

W inscenizacji „Malowanek wielkopolskich” widać rękę etnografa. Melodie i tańce pochodzą z różnych regionów Wielkopolski, podobnie jak i stroje, choźdło bowiem o pokazanie w przekroju całej Wielkopolski. Stąd ta mozaika. Dla powiązania w całość sceniczną trzeba jednak było znaleźć taki watek, który jest wspólny dla całego obszaru Wielkopolski, typowy słowiański i polski. Takim wątkiem m. in. są zrękowiny, niekiedy zwane zredzinami, a obecnie najczęściej zaręczynami. Zrękowiny były niegdyś trzecim, kolejnym aktem owych



Piękne są hafty ludowe z Wielkopolski

zwyyczajowych zabiegów, poprzedzających samo wesele. Po załotach następowały swaty, po swatach zaręczyny. Całość jest prastarym zwyczajem słowiańskim. Z biegiem stuleci zacierała się trójczłonowość tego zwyczaju. Zrękowiny były prawdo-



Rujnowani ekonomicznie drobni farmerzy amerykańscy „zasilają” kilkunastomilionową armię bezrobotnych. A o pracę w USA nie jest łatwo. Asfaltowymi i betonowymi szosami wędrują od miasta do miasta bezrobotni, próbując szczęścia. Iu nowych farmerów wyrzuci na bruk „patriotyczne” wezwanie prezydenta Eisenhowera?



Nakrycie głowy niewiast z okolic Dąbrowki Kościelnej.

podobnie pierwotną formą zawierania małżeństwa, w której rolę istotną odgrywał moment przewiązania białym ręcznikiem rąk obojga młodych nad bochenkiem chleba. Aktu tego dokonywał starszy z mężczyzn w gromadzie, cieszący się ogólnym poważaniem. Szczątkową spuścizną tej roli jest zapewne funkcja „starosty” wzgl. „marszałka weselnego”. Nieodłączną w tych zwyczajach była uczta weselna, w której istotnym, węzłowym momentem było obdzielanie wszystkich, biorących w niej udział, obrzędowym pieczywem weselnym, kołaczem. Zatarło się już wiele z owych dawnych szczegółów tego obrzędu, pozostało trochę różnych fragmentów, na ogół mało zrozumiałych. Zwyczaj zrękowin nie był nigdy obrzędem kościelnym a pochodził z dawniejszych okresów przedchrześcijańskich.

To, co zobaczymy w „Malowanek wielkopolskich” jest ułankiem owej dawnej obrzędowości i zwyczajów przedślubnych. W tej formie zachował się on do czasów całkiem bliskich. Natomiast jeszcze w wieku XIX-ym, po okresie załotów, do rodziców panny młodej wysyłano swatki, którzy pośredniczyli w uzyskaniu zgody obu stron rodzicielskich na zawarcie związku małżeńskiego między „przychylnymi sobie” młodymi. Dopiero po tych wstępnych rozmowach, które zazwyczaj miały miejsce w czwartek, dochodziło do rzeczywistych zaręczyn, w sobotę. Jest rzeczą przy tym interesującą to, że zazwyczaj zaręczyny odbywały się nocą, a w każdym razie po zachodzie słońca.

Wzruszenia i nastroje owych godowych okresów przejawiały się przede wszystkim w pieśniach, których melodie i teksty wyrażały treść uczuć, tęsknot a niekiedy zwykłych, życiowych refleksji tych, którzy w przeżyciach owych uczestniczyli. Znaduujemy w nich swoiste odbicie obrazu życia wsi.

W „Malowanek wielkopolskich” usłyszymy więc wór pieśni i tańców z różnych regionów Wielkopolski. Materiały te zebrane, zestawione i od strony etnograficznej opracowane zostały przez mgr. St. Snuszkę. Dla celów inscenizacji wkomponowane zostały w obraz wielkopolskich załotów i zrękowin, tworząc przez to interesujące widowisko. Oprawę muzyczną opracował prof. Weigt, reżyseruje prof. Statkiewicz.

CZAROWNICA



Była godzina piąta rano.

Skorupkowej mocno biło serce, gdy pukała do drzwi sąsiadki. Dudzina otworzyła zdumiona.

— A toście na jarmark nie szli?

Skorupkowa machnęła ręką zdenerwowana.

— Miałam iść. Już byłam pod wiatrakami. Ale się wróciła. Kocisko czarne jak smoła, przeleciało mi przez drogę. Na nieszczęście pójde, czy co? Lepiej już w chałupie zostać...

— No to wejdźcie, Skorupkowa. Powiem wam nowinę. Moją Bestrą znowu zasuszyło.

— Kiedy?

— A wczoraj.

— Tak na fest?

— Prawie. Nic jej nie pomaga. Trzy razy już przysypywałam popiołem próg obory. Nic. Do siewki dodałam trochę czarnego ziela. Nic. Smarowałam rogi masłem z łożu i pajęczyny. Wszystko na nic.

Dudzina wymieniła jeszcze kilka zabiegów ziołolecniczych, które dotychczas zwykle poprawiały Bestrę mlecz

ność, dochodząc w końcu do zupełnie oczywistej konkluzji, że:

— Nic innego, tylko Basińska musiała rzucić urok.

— Basińska? — Skorupkowa nie mogła się jakoś pogodzić z tą myślą. — E, chyba to nieprawda. Młoda kobieta, książki i gazety czytuje, radia słucha, gdzie by jej takie sprawy w głowie. Mało to razy sama na zebraniach śmiała się z nas, że niby w zaboron wierzymy! Ja bym nie powiedziała...

Ale Dudziowa była prawie pewna, że odkryła sprawczyńnię niewydolności gruczołów mlecznych Bestrę.

— A ja wam mówię, że Basińska w cztery oczy to się z nas starych śmieje, ale sama, u siebie w domu, jak jej nikt nie widzi, zamawiania robi.

— Mówicie?

— Niech mi się tak prosięta nie chowają, jeżeli to nieprawda. Sama widziałam. Za-

mawia, żeby jej się w gospodarskim szczęściu. A jak, Skorupkowa, nie wierzycie, to się możecie na własne oczy przekonać...

Zobaczyć Basińską, przewodniczącą Koła Gospodyń, jak wbrew temu co mówi na zebraniach uprawia czary we własnej chałupie, to gratka nielada, więc Skorupkowej aż się oczy zaświeciły.

— Chciałabym to zobaczyć...

Dudzina popatrzała na zegar i rzekła:

— O tej godzinie lecę zawsze po zielone na łąkę. Chodźcie ze mną. Będziemy koło jej chałupy przechodzić, to wam pokażę...

Uwinęły się szybko, wzięły płachtę i poszły.

— Stańmy sobie za tym krzaczkiem, to nas z okna nie zobaczy. Widzicie ją? O, już zaczyna. To samo co wczoraj.

Skorupkowa spojrzała przez szybę do wnętrza izby Basińskiej i zdrtwiała...

Basińska stała na środku izby, ręce trzymała przed sobą wyprostowane i mrucząc zapewne jakieś zaklęcia, opuszczała je po kilka razy w dół, aż do samej podłogi. Potem znów chwyciła się rękami za głowę, obracała się całym ciałem to w jedną, to w drugą stronę, aby na chwilę klepać lewą dłoń prawe kolano, a prawą lewe. Kiedy wreszcie ni stąd ni zowąd padła jak długa na wznak na

podłogę i uniosła bosa stopy w górę, skulone pod krzakiem sąsiadki z przerażenia i zgorzelenia zamknęły oczy trwając chwilę w niemym bezruchu,



jakby z poszanowaniem dla dziejącego się za szybą okienną misterium.

Ocknęły się z odrętwienia, gdy Basińska odprawiając czary, otworzyła szerzej okno i z wnętrza izby doszedł ich męski, trochę dudniący głos: — „Na tym zakończyliśmy naszą gimnastykę poranną. Do usłyszenia jutro o tej samej porze“.

Żale pisarza

Pragnąłbym w kilku słowach tu dowieść, Jak trudno dzisiaj napisać powieść. Ot, ja na przykład. Daję Wam słowo, że napisałem ślicznie — Ludowo! Bezkonfliktowo! Z krzepą! Bojowo! Pisałem w pionie, W ramach, Na bazie Współczesnych przemian oraz wydarzeń! Niemal sobie zadalem trudu! — Streściłem rocznik „Trybuny Ludu“! — Stawilem Żerań i Nową Hutę! — Tepilem miłość! — Ganiłem smutek! — Bohater silny posiadał kościół! (Jak procent normy człowiek dziś rośnie!) Powieść skończyłem pewnej niedzieli. Dalem do druku. Pech! Nie przyjęli!!! Cóż? Nie trzymałem ręki na pulsie I nie dostrzegłem, że schemat już nie! Pisać zacząłem znowu! Ab ovo! Lecz konfliktowo i programowo! Aby fabuły zbyt nie uproszczyć, Wstawiłem kwestię „trudnej miłości“! I ważny problem sprawy człowieka Też się wydzwięknę u mnie doczekał! Powieść skończyłem pewnej niedzieli. I co powiecie? Też nie przyjęli! Rękopis znowu oddali z żalem. Podobno teraz trzeba mieć talent!



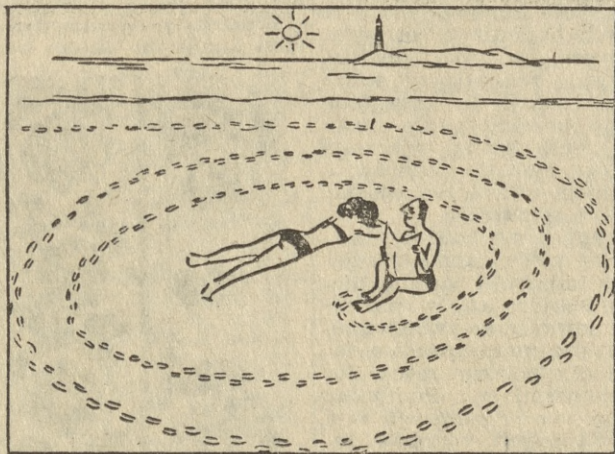
„Mamusiu, mamusiu! Patrz... aniołek!“

Rys. Petit-klein.



— Halo! Halo! Śniadanie jest gotowe!

Regards



Bez słów.

„NBIZ“

Omyłka

W restauracji siedzi dwóch mężczyzn przy jednym stoliku. Każdy z nich zjada swój obiad. Nagle jeden rozgląda się dokoła, po czym zwraca się do swego sąsiada:

— Czy byłby pan tak uprzejmy podać mi musztardę, która stoi obok pana?

— Co pan sobie myśli? — oburza się na to głośno drugi.

— Niech się pan z tym zwróci do kelnera!

— Bardzo pana przepraszam. To była po prostu pomyłka.

— Pan sądził zapewne, że ja jestem kelnerem? — mówi już udobruchany jegomość.

— Nie. Ja po prostu sądziłem, że pan jest dobrane wychowany.

Bezczelność

Dwie maszynistki rozmawiają w czasie przerwy śniadaniowej.

— Słuchaj, Baśka — pyta jedna — czy nasz dyrektor stał się już kiedyś cię zaczepiać?

— Och! I w jak beczelny sposób! — odpowiada na to druga. — Kiedyś wszedł podczas godzin pracy do hali maszyn, a ja właśnie polerowałam sobie paznokcie. Popatrzał na mnie takim przeciągłym spojrzeniem i powiedział: „No, dalej, dalej! Do roboty, panno Barbaro!“



Powód do „dumy“

— Z województwa wydzwońcie szybko referenta I powiedzcie o naszym wspaniałym wyniku, że połowę planu kontratacji tuczników Wykonaliśmy dzisiaj równo w stu procentach!

ADAM OCHOCKI

O krytyce prasowej

Przez różne stosunki i wpływy karzelek olbrzymem jest czasem — aż wreszcie wpada pod prasę... I znów ma wymiar właściwy.

O kiepskiej korektorze

Narzekala, pewna autorka na kiepską korektę dzieła. A kto winien, że korektorka nad tekstem się zdrzemnęła?... WITOLD DEGLER

Golono

Jak podaje prasa, Starobielska Fabryka KOS rozpoczyna produkcję brzytwy.

Taki zwątpienia wkrąg słyszę głos, Wśród mężczyzn — oczywiście: — Czy aby brzytwa z fabryki kos Nie pozostawi ścierniska... MIK

Wiesław Brudziński

rys. Lengren

Trzy rozmowy z nauczycielem Nowakiem

I NOWAK, KULEBIAK

Dzwonek telefonu, Nowak bierze słuchawkę. Głos Kulebiaka w słuchawce:

K — Czy pan profesor Nowak?

N — Przy telefonie.

K — Mówi Kulebiak. Prochowiec nadeszły, co to pan profesor się pytał.

N — Bardzo się cieszę; bo już myślałem, że nigdzie nie dostanę.

K — Właściwie już są rozprzedane, ale dla pana profesora jeszcze jeden znajdzie. Specjalnie schowaliśmy. No tak, trzeba pamiętać o naszych tych... wychowawcach młodego pokolenia, no i w ogóle, żeby mieli co włożyć na to ciało pedagogiczne. Tak. Proszę przyjść koniecznie, bo i tak się narażam. Może się zjawić kontrola i ten prochowiec znaleźć. Ale czego się nie robi dla kochanego wychowawcy pokoleń. Co to ja jeszcze chciałem powiedzieć? Aha. Jak tam mój Kazik?

N — Przykro mi, ale chłopiec się zupełnie zaniedbał. Musiałem mu postawić dwójkę.

K — Co? Będzie miał dwójkę na półroczu! Wychowawco, to niemożliwe!

N — Niestety, decyzja już zapadła.

K — Decyzja zapadła? To bardzo niedobrze. No to do widzenia.

N — Zaraz, zaraz, a co będzie z tym...

K — Z czym?

N — No, z tym prochowcem.

K — A, z prochowcem. Bardzo przepraszam, ale właśnie dowiaduję się od ekspedient-

domalował na portrecie Mickiewicza brodę i wąsy.

M — A pan profesor mówi, że nie umie rysować!

N — Lekcji nie odrabia. Czy pani kontroluje go kiedy? Wczoraj na przykład nie napisał wypracowania.

M — Wczoraj nie było mnie w domu. Z ramienia komitetu kontrolowałam warunki, w jakich dzieci odrabiają lekcje w domu.

N — A w ogóle, jak tak dalej pójdzie, syn pani nie przejdzie do następnej klasy. M — To straszny cios dla mnie. A jaka jest na to rada, panie profesorze?

N — Syn pani musi się uczyć, uczyć i jeszcze raz uczyć!

M — Uczyć? Ładna historia! Czy ja po to tracę czas na ten komitet rodzicielski, żeby mój syn miał się uczyć, jak każde dziecko?!

III

BRZESZCZOT (mówi do telefonu)

— Czy towarzysz Nowak? Tutaj Brzeszczot. Chciałem was zapytać o postępy mego syna, Chwalisiawa. Podobno ma dwójkę. Tak? A więc to prawda. Z początku nie chciałem wierzyć. Mój syn ma dwójkę, podczas gdy dzieci prostych bezpartyjnych mają czwórki, a Pietrusiewicz, taki środowiskowo obcy syn chwiejno-liberalnego inteligenta ma piątkę! Co? Pietrusiewicz dobrze się uczy? A



ki, że ten ostatni prochowiec już został sprzedany. Tak. Może jeszcze nadejdą.

N — Nie wie pan kiedy?

K — Nie wiem. Trzeba się dopytywać, nie z nieba nie spada. Do widzenia.

II

NOWAK, MATKA UCZNIA

M — Pan profesor czeka na tramwaj, ja też. Pan profesor trochę mizerny, zamęczają pewnie prośbami o protekcję, prawda, panie profesorze, nie dają spokoju. W szkole, w domu, na ulicy...

N — Nawet na przystanku.

M — Właśnie. Nawet na przystanku. Co to za ludzie! Pan profesor będzie jutro na zabawie organizowanej przez nasz komitet? Pan profesor musi być znakomitym tancerzem.

N — Dlaczego?

M — No, z taką figurą!

N — Niestety, nie tańczę.

M — Nie szkodzi, my już profesorka nauczymy. Bo ja tańczę namiętnie. W ogóle mnie pociąga praca społeczna. Jak mój Jureczek skończy szkołę, to nie wiem, co będę robiła. Te zabawy gdzie indziej takie podłe. A jak tam mój Jureczek, panie profesorze, wyrównał z polskiego?

N — Wyrównał, do innych dwój. Pani syn, Jurek, jest najgorszym uczniem w klasie.

M — Panie profesorze!

N — Nawet z rysunków ma dwójkę, nie mówiąc o innych przedmiotach. Nie zdarzyło się jeszcze, aby choć raz odpowiedział na pytanie.

M — Dziecko nie lubi popisywać się swoją wiedzą.

N — I zachowuje się skandalicznie. Przed tygodniem



co, jeszcze miałby się źle uczyć! Ja tylko się zastanawiam, czy to nie jest jakiś wroga robota. Tak. Aha, co to ja wam chciałem powiedzieć. Nie byliście wczoraj na szkoleniu. Co? Pomagaliście słabszym uczniom w szkole? To was nie zwalnia z obowiązku przychodzenia na szkolenie. Zaniedbujecie się ideologicznie. Nie, nie, zajmujecie oportunistyczne stanowisko. Waszym zdaniem tych rzeczy pewno nie można pogodzić, co? I w ogóle, jesteście pewnie przeciwni szkoleniu, prawda? To wszystko razem bardzo dziwne. Trzeba będzie tę sprawę postawić. Do widzenia.

„SZPILKI“

To i owo

Oskar Maurus Fontana jest rektorem wiedeńskiego uniwersytetu i znanym poetą. Profesor Wotruba to ceniony artysta - rzeźbiarz.

Obaj ci przedstawiciele świata kulturalnego Austrii znaleźli się niedawno w niemieckim doborowym towarzystwie przed gmachem wiedeńskiego parlamentu. Śpiewacy operowi, artyści dramatyczni, profesorowie uniwersytetu, lekarze i muzycy — wszyscy ci przedstawiciele nauki i sztuki zbrali się tam z transparentami. A potem ruszy! pochód przed urząd kancelarski i ministerstwo oświaty.

Tłumy wiedeńczyków stały po obu stronach ulic i milcząco odbierały ten „pochód cieni“. Apatyczny i zmęczony krok, wychudzone twarze, zniszczone płaszcze — oto obraz tej elity austriackiej. Uposyły się nad nią transparenty ze wstrząsającymi napisami: „Pomóżcie nam, póki jeszcze żyjemy“

„Nie ma pieniędzy dla nauczycieli i uczniów“

„Pomyślcie o niezaangażowanych aktorach“

„Precz z podatkiem obrotowym od artystów“

„Baseler Nachrichten“ (dziennik szwajcarski) pisząc o tym, donosi dalej, że niedza wśród profesorów, artystów i lekarzy w Austrii jest „wprost zastraszająca“.

Mac Carthy coraz śmielej wyklada swe karty. Widoczne są one już teraz na salach wykładowych amerykańskich uniwersytetów. Podkomisja bezpieczeństwa wewnętrznej, na której czele stoi senator Jenner (republikanin ze stanu Indiana) wyznaczyła studentów, których zadaniem jest szpiegowanie i informowanie o „działalności wyrotowej“ na salach wykładowych i poza nimi.

Stopniowy zanik swobód akademickich w USA jest już całkiem widoczny. Instytut badania opinii publicznej znany pod nazwą „Purdue Opinion Panel Poll“ przeprowadził niedawno ankietę wśród 3 tysięcy studentów w całym kraju.

42 proc. studentów wyraziło opinię, że „trzeba stanowczo przeciwstawić się wszelkim próbom zmiany amerykańskiego stylu życia“.

52 proc. uważa, że „policja ma prawo poddać człowieka badaniom trzeciego stopnia, jeżeli chce wymusić zeznanie“.

Okazuje się, że pytani o opinie studenci są posłusznymi pacjentami senatora Mac Carthy. Drżą jak osiki.